



PLATTE F.

Clark

JEDNOROŽEC

ZŁY JEDNOROŻEC

Platte F. Clark

Przeł. Piotr W. Cholewa



Tytuł oryginału
BAD UNICORN
by *Platte F. Clark*

Ta książka stanowi fikcję literacką.
Wszelkie podobieństwa do zdarzeń, nazw,
osób lub miejsc zarówno rzeczywistych, jak i wymyślonych
są niezamierzone i całkowicie przypadkowe.

Original English language edition copyright.
Copyright © 2013 by Straw Dogs, LLC. Published by arrangement with Aladdin,
an Imprint of Simon & Schuster Children's Publishing Division.
Cover illustrations copyright © 2013 by John Hendrix

Polish Language Translation copyright © 2015 by Wydawnictwo CzyTam
Copyright © for the translation by Piotr W. Cholewa

All rights reserved. No part of this book may be reproduced or transmitted
in any form or by any means, electronic or mechanical, including photocopying,
recording or by any information storage and retrieval system,
without permission in writing from the Publisher.

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Żadna część tej książki nie może być powielana lub przekazywana
w jakiegokolwiek formie lub przy użyciu jakichkolwiek
nośników elektronicznych lub mechanicznych, w tym fotokopii,
nagrań lub innych nośników informacji i baz danych,
bez pisemnej zgody Wydawcy.

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-938731-3-5

Opracowanie graficzne i skład: Przemysław Zysek

Redakcja: Elżbieta Gepfert
Korekta: Bogumiła Walicka

Druk: Toruńskie Zakłady Graficzne Zapolex Sp. z o.o.

Wydawnictwo CzyTam
ul. Przasnyska 20/15, 01-756 Warszawa
www.czy-tam.pl

PRZEDMOWA DO

KODEKSU NIESKOŃCZONEJ POZNAWALNOŚCI



JESLI CZYTASZ TĘ STRONĘ, PRAWDOPODOBNIENIE nie jesteś magiem, a już stanowczo nie potomkiem z mojej krwi. Przestań! Albowiem jest to *Kodeks nieskończonej poznawalności* – „kodeks”, ponieważ to bardzo stara księga, a „nieskończonej”, ponieważ słowa w niej nie są przypisane do jakichkolwiek numerów stron czy spisu treści (dlatego nie zaleca się korzystania z *Kodeksu* jako źródła cytatów w recenzjach książek). Przypuszczam, że należą ci się gratulacje, ponieważ zdołałeś pokonać pierwszy poziom ochrony, czyli wstrząs elektryczny (być może otworzyłeś książkę kijem, albo włożyłeś izolowane rękawiczki). Ale nie bądź przesadnie z siebie zadowolony. *Kodeks nieskończonej poznawalności* zawiera piętnaście Zakłęk Pierwotnych – fundament wszelkiej magii w trzech krainach. Samo znalezienie się w ich pobliżu jest tak niebezpieczne, że mój zespół prawników żąda, bym cię uprzedził, że w każdej chwili możesz być porażony prądem, zamrożony, rozerwany na strzępy, wyrzucony w powietrze, spalony na popiół albo ciśnięty poprzez czas i przestrzeń w mroczne rejony umbrawersum. Jako autor *Kodeksu* radzę ci teraz, byś natychmiast zamknął książkę i odbiegł – w miarę możliwości z wrzaskiem i wymachując

rękami. Naturalnie, to sytuacja towarzysko krepująca, przynajmniej na pewien czas, ale i tak lepsza od całkowitego fizycznego unicestwienia.

No dobrze, zlekceważyłeś moje ostrzeżenia i czytasz dalej. Jak chcesz. Pamiętaj tylko, że osoby naruszające prawa autorskie będą nie tylko ukarane z całą surowością prawa, ale też przywiązane do Drzewa Niedoli i lizane przez ogniste kocięta.

Dodatkowo, jeśli ostateczna bitwa o Ziemię źle się potoczyła, naszym wiewiórczym władcom pozwolę sobie powiedzieć: dobrze rozegrane – byliście godnym przeciwnikiem. Jeśli ludzie nadal przetrwali, uważaj teraz i zapamiętaj dwie bardzo ważne rzeczy. Po pierwsze: nigdy nie odwracaj się plecami do wiewiórki trzymającej orzech. Po drugie: *Kodeks nieskończonej poznawalności* to najwspanialsza księga magiczna, jaką napisano. Samo jej posiadanie nie tylko narazi twoje życie na niebezpieczeństwo, ale uczyni cię celem dla potężnych i żądnych władzy istot. Uwierz mi, nie są to istoty, które można lekceważyć. Sugeruję, żebyś porzucił tę księgę tam, gdzie ją znalazłeś, i czekał, aż upomni się o nią mój dawno zaginiony potomek. Albowiem jedynie ci z mojej krwi mogą czytać ją dalej i odkryć tajemnice, które tak starannie ukryłem. A jeśli zdarzy ci się spotkać tego mojego dalekiego potomka, przekaz mu – albo jej – żeby nie zaginął kartek *Kodeksu*. Czy tak trudno jest użyć zakładki? Odrobina grzeczności nikomu nie zaszkodzi.

Maximilian Sporazo

Arcyczarownik i Regent Wieży Maga



PROLOG

KSIĘŻNICZKA JEDNOROŻCÓW MIAŁA ZŁY DZIEŃ. PRAWDOPO-
dobnie nie aż tak fatalny, jak te beztrioskie frobbity, które zjadła – ale jednak całkiem zły, mimo wszystko. Po pierwsze, frobbity okazały się niezbyt smaczne. Ogólnie, frobbity były niskimi, lekko słonymi stworzeniami o wielkich uszach, owłosionych stopach, dużych oczach i ciałach zaokrąglonych wskutek długich dni jedzenia, picia i radowania się. Zawsze uważano je za delikatny ludek, zarówno w sensie emocjonalnym, jak i w postaci pieczonej. Ale ostatnio frobbity wydawały się... zwyczajnie mdłe. W dodatku przykuty do drzewa frobbicki grajek niby grał wszystkie niezbędne nuty na swojej małej frobbickiej mandolinie, ale nie czuł tej muzyki – może dlatego, że Księżniczka zjadła jego kolegów

z kapeli. A jeśli istniało coś, czym naprawdę gardziła, to mdłe frobbity i muzyka bez duszy.

Zbliżył się Magar. Był człowiekiem o włosach przyprószonych siwizną i z ciemną kozią bródką w stylu złego wezyra, ale teraz nisko zwieszał głowę w pozie należnego szacunku. Jako wyznaczony mag księżniczki, miał obowiązek służyć jej dopóty, dopóki nie zostanie zwolniony przez regenta Wieży – na co szansa była niewielka, jeśli wziąć pod uwagę obecny stan rzeczy. Jednorożce należały do najpotężniejszych istot w Magrusie, a Księżniczka była jedną z paskudniejszych, zwłaszcza wtedy, kiedy wpadała w szal. Mimo to postanowił starać się jak najlepiej – a przynajmniej starał się uniknąć spalenia.

– Wasza Wysokość – zamruczał, zerkając z irytacją na frobbickiego muzykanta, który natychmiast ucichł.
– Mam nadzieję, że te bardziej ci odpowiadały.

Księżniczka westchnęła w sposób, od którego dreszcz przebiegł Magarowi po plecach.

– Nie, wcale mi nie odpowiadały. Wyznam szczerze, Magarze, że wszystko w całej tej krainie jest albo mdłe, albo skażone.

– To prawda – przyznał mag i stanął prosto, próbując pozbyć się bólu pleców. – Wszystko w Magrusie skażone jest magią. Ale to magia czyni nas tym, czym jesteśmy.

– Możliwe. Ale nie wszędzie tak się dzieje, prawda? Nie w górnej krainie, w Techrusie.

– W świecie ludzi? – Mag strzepnął popiół z szaty. Jako mag, nigdy do końca nie rozumiał, dlaczego musi się ubierać w coś, co właściwie było suknią ozdobioną księżycami i gwiazdami. Na przykład czarodzieje nie nosili sukienek. Czarodzieje nosili zbroje, a do bitwy ruszali, wymachując mieczami i rzucając zaklęcia. Byli czołowymi zaklinaczami w Magrusie – magowie zaś tylko iluzjonistami w nocnych koszulach i szpiczastych kapeluszach. Chociaż Magar właściwie nie chciał być czarodziejem, głównie ze względu na ich wewnętrzne starcia i wzajemne wyzywanie się na pojedynki w walce o pozycję. Mag był bezpieczniejszym fachem i Magarowi to odpowiadało.

– Techrus to nieprzyjemne miejsce – mówił dalej. – A poza tym jednorożce zyskały tam... pewną reputację.

– Reputację? Jaką reputację? Żądnych krwi najeźdźców?

Magar pamiętał, że musi zachować ostrożność – widział już, jak Księżniczka robi złe rzeczy tym, którzy przekazują jej rozczarowujące wieści.

– Ehm... Nie tak całkiem...

– A więc pożeracze ciał? Niszczyciele miast?

– No...

– Stworzenia z koszmaru i ognia?

– Ee...

Księżniczka zmarszczyła czoło i stuknęła kopytem o ziemię.

– W najgorszym wypadku z pewnością jesteśmy znane jako te, które dźgają i ranią?

Magar zastanowił się nad odpowiedzią. Widywał te dziwaczne obrazki rysowane przez ludzkie dzieci – obrazki pokazujące radosne jednorożce skaczące nad tęczą, z licznymi kokardami i pomponami na rogach. W rezultacie tylko niepewnie wzruszył ramionami.

– Nawet nie dźgamy? Ludziom się wydaje, że po co mamy te rogi?

– Może po to, żeby nabijać na nie pyszne owoce z drzew i dzielić się nimi z przyjaciółmi – podpowiedział muzyk, starając się być pomocny.

Księżniczka uśmiechnęła się – o ile koniokształtna istota zła może się uśmiechać – i pochyliła głowę. Błyskawica wystrzeliła nagle z jej rogu i zmieniła frobbita w pył.

– Nie pomagasz – stwierdziła.

Magar zanotował w pamięci, by na przyszłość unikać uwag o zbieraniu owoców.

Jednak zamordowanie czegoś wyraźnie poprawiło Księżniczce nastrój. Podeszła do leżącej na trawie mandoliny i od niechcienia nastąpiła na nią kopytem.

– W Magrusie wszyscy wiedzą, że róg jednorożca jest podobny do różdżki maga, tylko o wiele potężniejszy. Dlatego budzimy powszechny lęk.

– Niewątpliwie, Wasza Wysokość.

– No więc sytuacja, jak ją widzę, prezentuje się tak – mówiła dalej, zstępując z rozgniecionej mandoliny. Smętnie zadźwięczała struna. – Kraina ludzi pełna jest smakowitych i niemagicznych stworzeń do zjedzenia, a dodatkowo prezentuje pewien brak uznania dla prawdziwej istoty jednorożców.

Magarowi nie podobał się kierunek jej rozumowania. W ramach nauki w Wieży Maga sporo się dowiedział o krainie ludzi. W szczególności, że jest to miejsce pełne dziwnych maszyn, głośnych dźwięków i jadalnych substancji, które się nie starzeją.

– Jedyna droga do krainy ludzi prowadzi poprzez mnichów ze Świętego Zakonu Drzewa Łagodności. A samo wypełnienie formularza zajmuje dwa lata.

– Możliwe.

– Poza tym od czasu Wielkiego Rozdarcia nie działa tam magia. Nawet gdybyś się tam przedostała, byłabyś...

Księżniczka uniosła pasek włosów nad oczami (nazwa „unibrew” została w końcu odrzucona).

– Byłabym czym?

– Byłabyś niezdolna do wykorzystania pełnego zakresu swych imponujących i potężnych zdolności magicznych. – Magar nerwowo przełknął ślinę. – Wasza Wysokość.

– Istnieją różne odmiany magii, Magarze. Sądziłam, że nauczyli cię tego w waszej Wieży. Zresztą chętnie porozmawiam z Rezormoorem Przerazającym. Słyszałam, że ostatnio bardzo mocno interesuje się Techrusem.

Rezormoor był regentem Wieży Maga. Nawet jako student, Magar szczęśliwie unikał zbyt częstych z nim kontaktów. Rezormoor bowiem był nie tylko najpotężniejszym czarownikiem w całej krainie, ale też człowiekiem wyjątkowo nudnym na wszelkich imprezach. Wynikało to z niezwyklej obsesji, jaką żywił na punkcie *Kodeksu nieskończonej poznawalności*. Miał skłonność, by opowiadać o nim długo i monotennie, chociaż ludzie ziewali, usiłowali skierować rozmowę na inne tematy, czy też – przypadkowo, oczywiście – kaleczyli się widelcami. Sama myśl o jakimś nieczystym sprzymierzeniu Rezormoora i Księżniczki powodowała u Magara bolesny ucisk w żołądku.

– Zabiorę cię tam, jeśli sobie życzysz.

– Czyżbym właśnie tego nie powiedziała? Tak jest, Magarze, życzę sobie wyruszyć do tej waszej ponurej Wieży. A jeśli nie dogadam się z Rezormoorem, może przynajmniej wymienię cię na lepszy model. W ten sposób podróż nie pójdzie całkiem na marne.

Magar skłonił się, czując powracający ból pleców. Ale żeby być wymienionym, trzeba być przynajmniej żywym, myślał. I to było pocieszające.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

MAX ZNAJDUJE KSIĄŻKĘ

(TECHRUS TERAŹNIEJSZY)

W KRAINIE LUDZI, GDZIE ŻYCIE JEST TAK NUDNE, ŻE MILIONY dzieciaków wysyłają na Tweetera wiadomości w rodzaju „jem śniadanie”, „jest piątek” czy „☹”, Max Spencer jechał autobusem do gimnazjum w Parkside i czytał książkę. Ale nie jakąś zwykłą książkę – od- kąd sięgał pamięcią była częścią jego życia. Nie miał znaczenia fakt, że ostatnim razem otworzył ją sześć lat temu. Znaczenie miało to, że znalazł ją pod łóżkiem (schowaną za kąpielówkami w dinozaury) akurat w porę, by ją omówić na lekcji, która wypadła dzisiaj. Był przyzwyczajony do takich przypadków, ale zwykle nie miały charakteru całkiem szczęśliwych, więc trochę się denerwował.

Max mieszkał w małym domku w małym miastecz- ku. Wykonywał takie zadania, jak pielenie chwastów

raz w tygodniu, albo przepychanie toalety, kiedy woda nie chciała spływać. Nie przeszkadzało mu to, jeśli tylko tygodniówka wystarczała, by zapłacić za gry w sieci. W świecie wirtualnym był imponującą postacią – całkiem inaczej niż w prawdziwym życiu. Na WF-ie, na przykład, zawsze wybierano go ostatniego (nawet kiedy Tina Eubanks miała złamane obie ręce i nogę). Podczas sezonu piłkarskiego Max musiał stać za boczną linią i ćwiczyć z „wyobrażoną skakanką”, ponieważ szkolny psycholog uznał, że rywalizacja sportowa obniża u niego poczucie własnej wartości. Max był przekonany, że gimnazjum i tak jest trudne, nawet gdyby nie stał się znany jako „dzieciak bez skakanki”.

Kiedy autobus zatrzymał się na kolejnym przystanku i grupa uczniów rzuciła się do miejsc, Max starał się nie odrywać wzroku od książki – po części dlatego, że chciał być przygotowany do lekcji, ale głównie po to, by nie nawiązać kontaktu wzrokowego z Rickim „Krakenem” Reynoldsem. Kraken nie tylko był przekleństwem wszystkich kujonów, dziwaków, prymusów i całej masy niesklasyfikowanych, którzy spacerowali po korytarzach szkoły. Był też kapitanem szkolnej drużyny zapaśniczej i jego przezwisko pochodziło od dźwięku, jaki wydały pękające kości

dwóch jego przeciwników na zawodach rejonowych. Fakt, że tak samo nazywał się straszliwy mityczny potwór, stanowił dodatkowy atut.

Kluczem do bezpiecznej jazdy autobusem było, by się nie wyróżniać. Jeśli ktoś był sportowcem, albo był popularny, zasadniczo nic mu nie groziło. Ale jeśli ktoś był trochę pulchny, miał duży nos, nosił aparat na zębach, grał w szkolnej orkiestrze na czymś podobnym do piszczałki, czy też wyróżniał się w dowolny sposób, przestawał jechać autobusem, a przesiadał się do prywatnej ruchomej izby tortur Ricky'ego. Tylko w zeszłym tygodniu Max był świadkiem, jak Ricky aplikuje kolejnym nieszczęśnikom klina, przedniego melvina, skręta i przerażającą oburęczną małpią drapkę. Najlepszym wyjściem w takich chwilach było nie podnosić głowy i mieć nadzieję, że uwaga Ricky'ego pozostanie skupiona na kimś innym. I dlatego właśnie teraz Max intensywnie wpatrywał się w książkę.

Czytał fragment poświęcony jednorożcom. Nie żeby uważał je za jakoś szczególnie ciekawe, ale książka miała dziwny zwyczaj dobierania tematu, na jaki miała ochotę. Jeśli na przykład Max chciałby poczytać o czymś innym niż jednorożce, mógł chwycić parę kartek i przeskoczyć do przodu, tyle że znajdował tam dokładnie to, co czytał poprzednio. Po kilku

zakończonych tym samym rezultatem próbach uznał wreszcie, że to nie on czyta tę starą księgę w okładkach ze skóry, ale to ona pozwala mu przeczytać niektóre części. Wiedział, że nie ma to wiele sensu, ale w końcu książka to książka i o czymś musiał na lekcji opowiedzieć.

Ktoś wrzasnął od strony tylnych siedzeń, gdzie zajęli miejsca Ricky z kumplami, a Max przygarbił się jeszcze bardziej i czytał dalej: *Nie tylko rządzi nimi królowa, ale też są jednorożce stworzeniami wysoce magicznymi, zdolnymi do rozmów z ludźmi. Zdarza się, że jednorożec porzuca swoją dietę z trawy i owsa, i by ją nieco urozmaicić, zjada człowieka, z którym właśnie rozmawiał. Niestety, kiedy już nabierze apetytu na mięso, niewiele można zrobić, by powstrzymać go od grabieży, rabunku i pożerania wszystkiego, co tylko zechce. Obejmuje to także frobbity, które są swego rodzaju smakołykiem, łatwo je złapać i mają około sześciuset kalorii każdy.*

W książce zamieszczono obrazek jednorożca, stojącego dumnie na wzgórzu, obok człowieka ubranego w szatę zdobioną księżycami i gwiazdami. Jednorożec był biały i miał długą grzywę z różowymi pasemkami. Z głowy wyrastał klasyczny róg, przypominający perfekcyjnie zwiniętą i wysoką porcję włoskich lodów. Całość kojarzyła się Maxowi z pla-

katem, jaki mogłaby sobie powiesić w sypialni mała dziewczynka, obok kalendarza z kotkami. Podpis pod obrazkiem informował, że to Księżniczka Jednorogców, znana też jako Księżniczka Niszczycielka, w towarzystwie swego maga, Magara Tolerowanego.

– Chłopie! – Słowa zabrzmiały z mocą eksplozji, więc Max uniósł głowę i zobaczył swojego najlepszego przyjaciela Dirka, który właśnie zajmował miejsce przed nim. Dirk miał na sobie swoją ulubioną koszulkę „Wang Computers”. Przechylił się przez oparcie, całkiem nie zwracając uwagi na Krakena ani nikogo innego.

– Rany, ten rajd w sieci był rewelacyjny! Taki, wiesz, jakbym im mówił: Macie na to ochotę? A oni: Tak, właśnie mamy ochotę. No więc ja: To dobrze, bo zaraz dostaniecie! I oni: Świetnie, bo tego właśnie chcemy. – Dirk przerwał, dostrzegając, co Max trzyma w rękach. – Czekaj, czy to nie ta stara książka, którą kiedyś czytałeś?

– Kodeks – odparł Max, trochę za głośno. – No więc kolejny rajd, tak? Brzmi... epicko. – Max stracił już rachubę, ile razy prowadzili identyczną rozmowę.

– Bo było. Totalnie rozwaliłem tego zielonego elfa. A potem wykonałem cały taniec śmiejącego się kurczaka nad jego trupem. Niesamowite.

Max potrafił sobie wyobrazić, jak postać Dirka tańczy niczym kurczak, a potem się śmieje – dwie komendy zawsze czekające na sieciowych graczy, którzy oprócz zabicia wroga, chcieli jeszcze się z niego ponabijać.

– Czy tobie też się to kiedyś nie przytrafiło? – zapytał Max. Miał wrażenie, że pamięta duży oddział orków, tańczących nad pokrwawionym ciałem Dirka.

Dirk zmarszczył czoło.

– No tak... Myślisz, że skąd wziąłem ten pomysł?

– Jasne. Coś jeszcze się działo?

– To co zwykle. Tylko że ten elf należał do jakiejś wielkiej gildii i wszyscy oni się na mnie rzucili. A potem tańczyli wokół mojego trupa i drwili ze mnie przez jakąś godzinę. Wszystkich dwustu.

To, że cała gildia ścigała Dirka przez kolejne ekrany, Max także już widział.

– A ty gdzie byłeś? W ogóle się nie logowałeś chyba.

– Mówiłem ci. Mam szlaban, bo ostatnio siedziałem przez całą noc. Mogę zagrać dopiero w weekend.

Dirk pokręcił głową.

– Pokonany w boju... A raczej przez kobietę...

Max umówił się z mamą, że jeśli uzyska średnią 5, będzie mógł grać wieczorami i w weekendy. Jeśli 4, to tylko w weekendy. Maxowi niewiele brakło do tej

piątki na okres, więc uznał, że skoro był tak blisko, należy mu się parę dodatkowych dni grania. Ale kiedy mama wróciła z nocnej zmiany i znalazła go nadal przy komputerze, szybko dała mu poznać, co oznacza „litera prawa”. Niestety, mama miała konto administratora i wykluczyła go z gry. Odcięty od wszelkich znanych form rozrywki, Max postanowił poszukać pod łóżkiem zapomnianych komiksów i w ten sposób ponownie odkrył książkę.

– A co z tym... kodeksem? – Dirk gestem wskazał książkę i mimowolnie roztarł palce.

Kiedy Dirk i Max byli jeszcze mali, Dirk próbował ją otworzyć, ale za każdym razem, kiedy dotykał okładki, następował wstrząs elektryczny. Max śmiał się histerycznie, gdy Dirk próbował znowu i znowu, chwytając się za palce i jęcząc po każdym nieudanym podejściu.

– Znalazłem go w swoim pokoju – wyjaśnił Max, ścierając jakiś pyłek z okładki.

Chociaż książka była bardzo stara, okładka zachowała się w zaskakująco dobrym stanie. Miała nieco czerwony odcień, zdaniem Maxa podobny trochę do koloru zaschniętej krwi. Krawędzie zdobiły trzy rzędy skomplikowanych symboli, chociaż po dokładniejszym zbadaniu można było się przekonać, że są

to maleńkie, splatające się ze sobą smoki. Pośrodku umieszczono złotą ośmioramienną gwiazdę, która dzieliła okładkę na połowy. Po jednej jej stronie tłoczyli się ludzie w kolorowych szatach, po drugiej stado fantastycznych stworzeń.

– Chcę go omówić na lekcji – wyjaśnił Max. – Tylko że teraz mówi o jednoroźcach.

– O jednoroźcach? Jednoroźce są głupie.

– Wiem. Tylko że te jednoroźce rzucają zaklęcia i pożerają ludzi.

Dirk pokiwał głową i oczy mu błysnęły. Max dobrze znał ten błysk. Byli z Dirkiem najlepszymi kumplami od drugiej klasy. Wszystko się zaczęło, kiedy ośmioletni Ricky Reynolds zabrał Maxowi okulary i drwiąco zaproponował, żeby je sobie odebrał. Max potykał się wśród rozmytych kształtów i próbował je chwycić, ale był zbyt powolny i zbyt niezręczny, by choć zbliżyć się do Ricky'ego. Wtedy właśnie pokazał się Dirk. Dirk najwyraźniej poznał właśnie nowy dowcip z cyklu „twoja matka jest taka gruba...” i postanowił wypróbować go na Rickym. Po chwili Ricky zapomniał o okularach i gonił Dirka, który jednak całkiem przypadkiem był najszybszym chłopakiem w mieście.

Od tego dnia Max i Dirk zostali najlepszymi przyjaciółmi.

– No dobra. Drapieźny jednorożec-ludojad może być całkiem fajny. Szkoda, że nie są też wampirami. – Głowa Dirka zakołysała się, gdy autobus podskoczył na dziurze. – Wampirze jednorożce byłyby niesamowite.

Dla Dirka dowolne stworzenie będące wampirem stawało się niesamowite – no, chyba że tym stworzeniem był jakiś zakochany chłopak, biegający po lesie bez koszuli.

Max pospiesznie schował książkę do plecaka, ponieważ autobus pokonał ostatni zakręt na drodze do gimnazjum w Parkside – Gniazda Orłów. Jednak z jakiegoś powodu Max nie mógł usunąć z pamięci obrazka Księżniczki Niszczycielki. Dzień nie był specjalnie chłodny, ale jemu dziwny dreszcz przebiegł po plecach.



Podczas lekcji pani Lundberg w klasie zawsze było za gorąco. Całkiem jakby administracja uznała, że siedzenie na angielskim nie jest dostatecznie trudne i postanowiła podkreślić ogrzewanie, żeby sprawdzić, kto potrafi nie zasnąć. Po trzydziestu minutach Max niemal z ulgą usłyszał swoje nazwisko, gdy pani Lundberg wywołała go do odpowiedzi. Wstał i ruszył do miejsca pod plakatem „Czytanie jest fantastyczne”.

– Chciałem przeczytać fragment książki, którą mam już od bardzo dawna – oznajmił, poprawiając okulary. – Nazywa się *Kodeks nieskończonej poznawalności*. Myślę, że „kodeks” znaczy tyle co „książka”, tylko że lepiej brzmi albo co... – Max zerknął na panią Lundberg, której uniesiona brew sygnalizowała, że powinien mówić dalej. Podniósł więc *Kodeks*, żeby wszyscy mogli go obejrzyć. – Ta część, którą chcę przeczytać, dotyczy jednorożców.

Max otworzył książkę w miejscu, które wcześniej zaznaczył. Kilku chłopców zaczęło chichotać.

– Czy powiedziałaś... jednorożce? – spytała chrapliwie pani Lundberg.

– Tak... – potwierdził i zajrzał do książki. Jednak na zaznaczonej stronie nie znalazł obrazka z jednorożcem. Był tam rysunek niewielkiego stworzenia o wielkich stopach i dużej głowie z okrągłymi oczami i kędzierzawą czupryną. W rękę trzymało jakiś strunowy instrument. Tytuł na stronie brzmiał „O frobbitach”.

– To znaczy nie... – wyrzucił pospiesznie Max. Zorientował się, że strona z jednorożcem zniknęła. – Chciałem powiedzieć: nie o jednorożcach. Przeczytam o frobbitach.

– Frobbitach? – Pani Lindberg znowu groźnie uniosła brew.

– Tak. Są o wiele ciekawsze od jednorożców. –
Przynajmniej taką Max miał nadzieję.

Pani Lundberg przyglądała mu się z taką miną, że niewiele brakowało, by się przyznał, że nie ma pojęcia, co robi. Lecz tylko machnęła ręką w uniwersalnym geście mówiącym „Do roboty”.

Max odchrząknął więc i zaczął czytać...

O FROBBITACH



Z ROZMAITYCH ISTOT ZAMIESZKUJĄCYCH ŚRODKOWĄ krainę – czy też Magrus, jak jest formalnie nazywana – pokojowe frobbity to coś, co powinien zobaczyć każdy wędrowiec. Kultura frobbitów opiera się na bezpodstawnym zaufaniu do obcych, powolnej ucieczce przed pościgiem oraz kąpielach w wodzie aromatyzowanej jedenastoma ziołami i przyprawami. Czyni ich to ulubionym źródłem pożywienia dla drapieżnych mięsożerców (ale też niektórych trawożernych, które w weekendy chcą trochę urozmaicić swoją dietę). Czasami, w sytuacjach zagrożenia, frobbity ostrzegawczo nacierają się liśćmi mięty – która to strategia na razie nie przyniosła żadnych rezultatów. Wioski frobbitów nazywane są drzewłosciami, ponieważ istoty te lubią zamieszkiwać wnętrza ogromnych wydrążonych drzew. Znane są przynajmniej dwa przypadki, kiedy wiewiórki odczekały, aż frobbity zakończą drążenie, po czym skutecznie przepędziły je i same się

wprowadziły do drzewa (więcej o przyszłej dominacji wiewiórek nad światem – patrz Dodatek B).

Frobbickie mandoliny, zbudowane z drewna powstającego w procesie takiego drążenia, są wysoce cenione w całym Magrusie. Nie tyle dla ich właściwości muzycznych, ale jako gotowa podpałka dla ognisk i palenisk domowych.

Czy to jako poręczne źródło żywności, czy jako budowniczości drzewołości, frobbity stały się integralnym elementem życia w Magrusie.



Max uniósł wzrok. Pani Lundberg wyjęła swój czerwony długopis, pstryknęła nim głośno i zapisała coś w dzienniku. Takie jej zachowanie widział już dostatecznie często, by zrozumieć, że prawdopodobnie nie przyniesie do domu nalepki „Mój gimnazjalista skończył z wyróżnieniem”.

– Wydaje mi się, że w ramach pracy domowej mieliście przeczytać rozdział powieści historycznej – oznajmiła pani Lundberg. – Sądziś, Spencer, że ta bajka o frobbitach się kwalifikuje?

W głowie Maxa pojawiło się nagle wspomnienie pani Lundberg, wypisującej pracę domową na tablicy. On wtedy rysował smoka, choć pewnie powinien bardziej uważać.

– Tak, psze pani... – wykrztusił z trudem.

– Doprawdy? Wyjaśnij, proszę.

Błyskawiczne wymyślanie nie było specjalnością Maxa. Zresztą takie mniej błyskawiczne też nie. Ale od jego odpowiedzi zależała prawdopodobnie różnica między trójką i jedynką, więc naprawdę się starał.

– No więc... Historia mówi o różnych rzeczach z przeszłości, a ta książka jest naprawdę bardzo, ale to bardzo stara. No i frobbity są pewnie całkiem zmyślone, więc to nie fakty, ale opowieść. Czyli tak, to właściwie była powieść historyczna.

Usłyszał śmieszki kilku co bystrzejszych dziewczynek, co nie wróżyło dobrze.

– Niezła próba, Spencer – stwierdziła pani Lundberg, przypieczętowując jego los. – Siadaj.

Wracając do ławki, Max wiedział, że powinien choć trochę się zmartwić, gdyż zawałił pracę domową. Myślał jednak tylko o *Kodeksie*. Było coś dziwnego w pomysle mięsożernych jednoroźców, magów rzucających zaklęcia, frobbitów kąpiących się w ziołach i środkowej krainie zwanej Magrusem. Uznał, że książkę należy pokazać ekspertowi, a pierwszą osobą, jaka mu przyszła do głowy, był Dwight, właściciel i jedyny zarządca Smoczej Jamy.

Chris Lemons, wysoki i chudy chłopak z długą szyją, przechylił się w stronę Maxa.

– Brawo, Einsteinie. Powinieneś się trzymać jednorożców.

Max go zignorował. Czuł się dostatecznie fatalnie, kiedy nabijał się z niego chłopak, który płakał, gdy słonecznik dotknął jego twarzy. Ale kolejna zła ocena oznaczała, że pewnie na zawsze już pozostanie uziemiony. Dobrze przynajmniej, że zbliżało się drugie śniadanie – cała ta historia o dobrze przyprawionych frobbitach sprawiła, że poczuł się głodny.

ROZDZIAŁ DRUGI

GAMBIT REZORMOORA

(MAGRUS TERAŻNIEJSZY)

REZORMOOR PRZERAŻAJĄCY SZEDŁ DŁUGIM KORYTARZEM ŚWIĄ-
tyni Maelcienia. Skamlący grakon czołgał się przed nim w skręconej obroży, do której przymocowana była kolczasta smycz, trzymana w okrytej rękawicą dłoni czarownika. Grakon to groźna bestia – trzy do czterech razy większa od człowieka. Pajęczyna stopionej lawy niczym siatka żył oplatała pancerną skórę zwierzęcia, a wielki łeb zwisał tak nisko, że czubki trzech rogów ryły marmurową podłogę, pozostawiając długie, dymiące bruzdy – świadectwo posępnego przemarszu. Niestety, bestia miała na imię Brzoskwinka, co po grakońsku brzmi o wiele groźniej niż w ludzkich językach.

Rezormoor nie czuł respektu dla zuchwałości stwora. Świadectwem potęgi grakona był fakt, że

w ogóle ośmielił się powstać przeciwko Maelcieniowi. A fakt, że Maelcień nie potrafił poskromić go szybko, sugerował, że Władca Cieni ma pewne słabości. Ale to były niebezpieczne myśli i nie należały do najbliższych planów czarownika. Na razie zamierzał doprowadzić Brzoskwinkę do stóp Maelcienia i sprawdzić, czy da się zawrzeć układ.

Korytarz prowadził do wielkiej sali, do której weszli Rezormoor i jego jeniec. Tron Maelcienia wyrzeźbiono z monstrialnej czaszki jakiegoś tytanicznego dziwoląga, dawno już zaginionego w annałach pradawnych dziejów. Wielkie zakrzywione kły wyrastały z górnej szczęki rozwartej paszczy i wbijały się w podłogę niczym dwa filary. Puste oczodoły przypominały czarne jeziora.

Wielka komnata zdawała się tańczyć i migotać, jakby oświetlona niewidocznym płomieniem, ale jeszcze dziwniejsza była czarna rzeka, która wycięła sobie koryto w twardej podłodze; jej powierzchnię zdobiły drobinki światła. Wyglądała, jakby ktoś ściągnął z firmamentu nocne niebo i zmusił je do przyjęcia stanu płynnego.

Nagle pojawiła się czyjaś obecność, którą Rezormoor raczej wyczuł niż zauważył. Brzoskwinka wyczuł ją także: spróbował unieść łeb i zaryczeć.

Ale czarownik szarpnął za smycz, a skręcona obroża (spieczona z korzeni Drzewa Otchłannego Cierpienia) zacisnęła się i wgrzyła w ciało bestii. Grakon jęknął – głęboki, żalospny dźwięk zabrzmiał w całej komnacie. Gdy jednak ucichł, grakon z pokorą opuścił łeb, wbił wzrok w podłogę i zaskomlał. Rezormoor także opuścił głowę i przyklęknął. Mimo że przywiódł tu cenną zdobycz, wiedział, że ryzykuje życiem. Z pewnością nie był tak głupi, by lekceważyć potęgę i absolutne okrucieństwo Maelcienia.

– Mów.

Głos przetoczył się niczym daleki grom. Brzaskwinka pisnął w odpowiedzi i przesunął się bliżej wielkiej czaszki; przypadł do ziemi i wysunął swój masywny jęzor. Bezkształtny cień osiadł na podwyższeniu.

– Schwytałem tego grakona, panie. Uciekł z Mrokrusu, jak podejrzewałeś.

– Jak wiedziałem – poprawił go Maelcień.

Rezormoor uniósł głowę, by spojrzeć na ten dziwny mrok, który teraz zajął miejsce na tronie. Mówiono, że Maelcień zamieszkuje najciemniejsze zakątki Mrokrusu, choć jego obecność mogła przeniknąć aż do świątyni. Rezormoor nigdy nie był w Mrokrusie – ani też nie planował takiej wizyty. Maximilian

Sporazo zbudował tam podobno fortecę – ogromny zamek wykuty w zboczu obsydianowej góry. Ale czy naprawdę należał do niego, czy tylko go wynajmował, nikt nie wiedział na pewno.

– A zatem wręczając ci ten dar, proszę o przysługę – rzekł Rezormoor, starając się mówić spokojnie. Żądanie przysług od Maelcienia mogło się okazać doświadczeniem skracającym życie.

Jakby w odpowiedzi, dwóch akolitów w czarnych szatach wynurzyło się z cieni. Kaptury skrywały ich twarze, ale pasma długich, upiornie białych włosów wysuwały się spod nich i opadały na ramiona. Czy byli to ludzie, czy jakieś okropieństwa, Rezormoor nie wiedział. Oddał smycz, gdy jeden z nich wyciągnął bladą dłoń, ze skórą jakby zbyt ciasno opinającą zniekształcone kości. Czarownik patrzył potem, jak wyprowadzają grakona z komnaty. Rezormoor po oczach poznał, że w bestii nie pozostała już nawet odrobina woli walki. Brzoskwinka bez oporu pozwolił się odprowadzić do lochów, zbudowanych zapewne pod świątynią.

– Grakon to godny hołd – ciągnął Maelcień. – Czego chciałbyś w zamian?

Gdzieś w głębi świątyni rozległ się stukot opadającej kraty i Rezormoor zastanowił się, jak wielu słyszało ten odgłos i żyło, by o tym opowiedzieć.

– Jak wiesz, panie, poszukuję *Kodeksu* – rzekł Rezormoor, kiedy już odetchnął. – Zaginionego od dwóch tysięcy lat. Niektórzy sądzą, że został zniszczony, ale ja w to nie wierzę.

– On istnieje – oznajmił z całkowitą pewnością Maelcień. – Wyczuwam go, choćby poprzez niewielkie zmarszczki, jakie wywołuje na osnowie wszechświata.

Po raz pierwszy Maelcień wypowiedział się tak konkretnie o *Kodeksie* i Rezormoor mógł tylko mieć nadzieję, że chwytanie grakona jednak mu się opłaci.

– Zaprawdę więc – rzekł czarownik – musi zostać odnaleziony.

– Zawiera piętnaście Zakłęb Pierwotnych. To nie jakaś błyskotka do zabawy dla magika.

Nazwanie go „magikiem” było wyjątkową obelgą, stosowaną wyłącznie przez tych, którzy nie obawiali się potęgi Wieży. Jako jej regent, Rezormoor nigdy nie słyszał, by ludzkie usta wypowiedziały coś takiego w jego obecności. Może w ten sposób Maelcień chciał go wypróbować. Możliwe też, że Władca Cieni zwyčajnie był palantem. Tak czy tak, Rezormoor poprzyśiął sobie, że nie da poznać, jak został obrażony.

– W rękach twojego sługi – odparł w końcu – *Kodeks* będzie wypełniał twą wolę.

– Nie udawaj, że chodzi o moją wolę – zaryczał Maelcień. – Powinieneś prosić o to, czego chcesz, póki mam jeszcze cierpliwość, by cię słuchać!

Rezormoor ogarnęła chęć, by wycofać prośbę i odejść, ale tylko z trudem przełknął ślinę i brnął dalej. Dotarł już za daleko, by się teraz cofnąć.

– Wypożycz mi Pajęczy Kompas, panie. Z jego pomocą odnajdę *Kodeks*.

Zapadła cisza – nieskończenie długa cisza, podczas której Rezormoor zastanawiał się, czy wymówił właśnie swoje ostatnie słowa. Wreszcie jednak Maelcień odpowiedział i burza, jaką był jego głos, na pozór przycichła.

– Żeby odczytać *Kodeks*, potrzebny jest potomek arcy czarownika.

– Jak rzekłeś. – Rezormoor skłonił się lekko. Wprawdzie Maelcień miał rację i Rezormoor potrzebował takiego potomka, by mógł czytać z książki, ale gdyby Władca Cieni wiedział, co czarownik naprawdę planuje, unicestwiłby go na miejscu. – Pajęczy Kompas może znaleźć obu: *Kodeks* i dziedzica Sporaza.

– Jeśli jego potomek w ogóle żyje. Od dwustu lat szukamy jego linii krwi, bez sukcesów. I chociaż istotnie posiadam Kompas, moi agenci próbowali go użyć i zawiedli. Nie widzę, czemu tobie miało by się udać.

– Twoi agenci nie mogą przechodzić do Techrusu. Czy też, jeśli nawet mogą, ich magia staje się tak osłabiona, że bezużyteczna. To nie znaczy, że nie dysponują żadnymi środkami, ale bez magii Kompas nie ma mocy.

– Nie mówisz mi niczego, o czym bym nie wiedział – odparł Maelcień, a jego głos uderzał o ściany komnaty niczym fala w skalisty brzeg. – Techrus jest pozbawiony magii.

Rezormoor wyprostował się nieco.

– Ale nie całej magii. Są tacy, którzy taką moc niosą w sobie.

– Smoki i jednorożce. Nie znajdziesz wśród nich chętnych do pomagania Wieży. Także mnisi strzegący Drzewa Łagodności nie dadzą zezwolenia na przejście między światami. To nie są nowe pomysły, czarowniku. To stare strategie, jednak nie mamy środków, by je zrealizować.

– Uważam, że nie jest to już prawdą.

Kłęb czarnych cieni na tronie zdawał się przesuwać i poruszać.

– Jak to możliwe?

– Nie było to łatwe, ale kontaktuję się z mnichami od pewnego czasu. I jesteśmy bliscy dobiecia targu.

– A co z magicznym stworzeniem?

– W tej kwestii także mam swego kandydata.

– Skoro przekonałeś mnichów i zdołasz namówić stworzenie o wrodzonej magii, by służyło twym celom, możesz dostać Pajęczy Kompas – oznajmił Maelcień. – Ale za pewną cenę: jeśli odkryjesz dziedziców krwi Sporaza, dostarczysz ich do mnie.

Rezormoor nie planował tego, ale z drugiej strony, kiedy uzyska już to, na czym mu zależy, życie dziedziców Sporaza będzie nieistotne.

– Zgoda – rzekł.

Umowa została zawarta.

– Dobrze. A teraz powiedz, jak zamierzasz skłonić kogoś z urodzenia magicznego, by wypełnił twoją wolę?

Rezormoor uśmiechnął się lekko.

– Tak się składa, że w tej chwili zmierza do Wieży pewien jednorożec. Z tego, co wiem, ma akurat odpowiedni apetyt, by mi się przydać.

ROZDZIAŁ TRZECI

KRAKEN KONTRA GRAWITACJA (TECHRUS TERAŹNIEJSZY)

TRWAŁA DUŻA PRZERWA I MAX KOŃCZYŁ WŁAŚNIE UKŁADAĆ książki w swojej szafce, kiedy nadbiegł Dirk. Szeroko otwierał oczy i miał zaczerwienioną twarz.

– Chłopie, totalnie musisz to zobaczyć! – zawołał.

Dirk w takim stanie przypominał Maxowi chihuahua sąsiadki; piesek podskakiwał zawsze, biegając tam i z powrotem wzdłuż płotu. Teraz Max ledwie zdążył zamknąć szafkę, nim Dirk powlókł go na korytarz. Nie było niespodzianką, że to Kraken i jego banda postanowili znowu uprzykrzyć komuś życie. Dziwne było, że tym razem chodziło o dziewczynę. A jeszcze dziwniejsze, że wyraźnie nie dała się zstraszyć.

– Powiedziałam, żebyś nawet nie próbował – ostrzegła dziewczyna.

Cała grupa (w której było kilku zapasników) roześmiała się. Ale ona nie była zagniewana, nie krzyczała, nawet nie zbierało się jej na płacz. W jej głosie dźwięczała zimna determinacja, rozcinająca powietrze niczym brzytwa.

– Jesteś niby taką księżniczką kung-fu, zgadza się? – zakpił Ricky, oglądając się na swoich kumpli. – Myślisz, że dasz radę mnie ściągnąć do parteru?

– Nie mówiłam o kung-fu – odparła spokojnie dziewczyna. – I nie, nie mam ochoty nigdzie cię ciągnąć.

Tłum gapiów się powiększał. Max w końcu rozpoznał dziewczynę: Sara Jepson, z którą chodzili razem na matematykę. Była wysoka, inteligentna, z takimi kasztanowymi włosami, jakie mają gwiazdy filmowe. Nie trzymała się popularnych dziewcząt, ani fanek zespołów, ani nawet grup teatralnych. Kiedy się zastanowić, to Max niewiele o niej wiedział – tyle, że jakoś znalazła się na celowniku Ricky'ego i właśnie miała za to zapłacić.

– Nie odpowiedziałś na pytanie – oświadczył drwiąco Ricky. – Nie pytałem, czy masz ochotę, tylko czy dasz radę. Wydaje ci się, że jeśli twoi rodzice są jak Karate Kid, to masz nade mną przewagę?

Nie karate, myślała Sara, ale judo. Nieczęsto o tym mówiła, bo nie chciała doprowadzać do takich właśnie

sytuacji, kiedy to stoi na korytarzu i musi sobie jakoś radzić z Rickym. Ale jej rodzice poznali się, kiedy oboje startowali na światowych mistrzostwach judo, więc oczywiście praktycznie całe życie poświęciła na naukę tej japońskiej sztuki walki. Już raczkując, nie bawiła się swoim pluszowym Elmo, ale ćwiczyła na nim rzuty przez biodro. Istniał ważny powód, że ju-jitsu – z którego judo się wzięło – używali wielcy samuraje w historii: było skuteczne.

– Co dam, a czego nie dam rady zrobić, to nie twój interes – stwierdziła krótko.

Kraken może nie był – jak mawiała babcia Maxa – najostrzejszym narzędziem w warsztacie, ale miał dość rozumu, by pojąć, że Sara naprawdę się go nie boi. A to chyba zdarzyło mu się po raz pierwszy.

– Nie uwierzę, że uważa się za mocniejszą ode mnie! – wykrzyknął.

Kumple Krakena śmiali się i klaskali, kiedy z szerokim uśmiechem rozejrzał się po korytarzu. A potem znowu spojrzął na Sarę i zniżył głos. Teraz wszyscy umilkli – widzieli już takie zachowania, czasem na macie zapasniczej, kiedy Ricky miał zaraz zniszczyć kolejnego przeciwnika, a czasem w szkole, kiedy jakiś uczeń miał dostać lanie. Ricky pochylił się, patrząc na Sarę, jakby była jego najgorszym wrogiem.

– Chyba powinnaś coś zrobić – wycedził przez zęby. – Albo ja zrobię.

Ale Sara nie drgnęła, a to dużo o niej mówiło. Max widział już wielu twardzieli, którzy łamali się w takich okolicznościach. George Lobowski, grający jako środkowy w drużynie futbolowej, rozplakał się, kiedy Ricky powiedział mu to samo. Ale nie Sara – ku zdumieniu Maxa i wszystkich zgromadzonych wokół uczniów, nawet nie drgnęła.

– Hej, może przyczepisz się do kogoś takiego dużego jak ty? – zawołał Dirk.

Max nie powinien się dziwić: Dirk miał chyba zakodowaną w DNA skłonność do mówienia bez namysłu. Max za to starał się zwykle skulić i stać możliwie niewidocznym.

Kraken odwrócił się i spojrzał na stojącego w grupie gapiów Dirka.

– Ach, doprawdy? – zapytał, wyraźnie szukając poklasku publiczności. – Zgłaszasz się na ochotnika?

– Wiesz, ja też wyraźnie nie jestem twoich rozmiarów. – Dirk wzruszył ramionami.

Gdyby Ricky wierzył, że złapie Dirka, pewnie by spróbował. Wiedział jednak, że nie ma szans. Poza tym nie zakończył rozmowy z Sarą.

– Popiskuj sobie, myszko, i pilnuj własnego nosa.

Po czym znowu odwrócił się do Sary. Staął z nią oko w oko, naruszając całą jej „przestrzeń osobistą”, o jakiej mówili na lekcji. Jednak Sara nawet nie mrugnęła.

– Posłuchaj, Ricky. Jestem tylko dziewczyną. Nie bardzo rozumiem, w jaki sposób czepianie się mnie ma poprawić twoją reputację samca alfa w szkole. Ale teraz odwrócę się i odejdę. Możecie sobie krzyczeć, że stchórzyłam, albo gwizdać, to mi nie przeszkadza. Jeśli poczujesz się lepiej, mogę nawet powiedzieć, że jesteś większy twardziel niż myślałam. Bardzo proszę. Ale w tej chwili mam ochotę zjeść drugie śniadanie. Więc przepraszam bardzo, ale odchodzę.

I wtedy to się stało. Sara zaczęła się odwracać, kiedy Ricky szorstko złapał ją za ramię. Zareagowała natychmiast; tak szybko, że zmieniła się niemal w rozmazaną plamę: chwyciła Ricky’ego za rękę i obróciła się na nodze, wykorzystując jego rozpęd. Potem schyliła się i przerzuciła go przez ramię tak, że wylądował płasko na plecach i stracił oddech od uderzenia o podłogę. Przystawiła kolano do jego ramienia i oparła łokieć Ricky’ego o udo, wyginając boleśnie. Ricky wrzasnął, ale poza tym się nie poruszył. Sara przyglądała mu się wzburzona i przez moment zdawało się, że dociśnie i złamie mu rękę. Ale nagle wypuściła go i przerażona uniosła dłoń do ust.

– Nie chciałam... – zaczęła, spoglądając dookoła na zdumione twarze.

Sara wykonała właśnie to, co jej rodzice nazywali *ippon seoi nage*. Spokojnie analizowała informacje, mimo że emocje zaczęły ją zalewać jak fala przypływu.

Grupa dzieciaków zaczęła się przepychać, żeby koniecznie z bliska obejrzyć pokonanego i leżącego na podłodze Krakena. Max i Dirk dali się ponieść tłumowi, potem nagle zostali wypchnięci naprzód, stracili równowagę, zderzyli się ze sobą, potknęli o Krakena i wyładowali jeden na drugim obok niego. Zanim zdążyli się wyplątać i wstać, pan Jackson – wicedyrektor – rozdzielił tłum niczym Mojżesz wody Morza Czerwonego. Staął nad nimi z rękami na biodrach i patrzył groźnie.

– Co się tu dzieje? – zapytał swym rzeczowym, dyrektorskim tonem.

Na ziemi leżał wciąż nieruchomy Kraken, obok niego Dirk, zaczerwieniony i z szeroko otwartymi oczami, oraz Max, zbyt zaszokowany, by zrobić cokolwiek prócz wskazania ręką Sary. Wicedyrektor szybko ocenił sytuację.

– Wszyscy na stołówkę... ale już. Niech ktoś znajdzie higienistkę i ją tu przysle. A wasza trójka... – Spojrzał chłodno na Sarę, Maxa i Dirka. – Idziecie ze mną. Narobiliście sobie kłopotów.